

Baron

(SZKIC BIOGRAFICZNY.)

Michał Boyron, rzeczony Baron, godny aby go przewano Rosciuszem swego wieku, miał lat ośmdziesiąt dwa gdy zeszedł ze świata. Takowe jest przynajmniej najpodobniejsze do prawdy i najgodniejsze wiary zdanie, chociaż wiek tego wielkiego aktora zawsze był zagadką tak za życia jak i po śmierci jego. Nigdy najpiękniejsza kobieta z taką tajemnicą lat swoich niekryła; niechciał jej powierzyć nikomu i nie raz się gniewał gdy najpoufalsi przyjaciele zgłębić ją pragnęli. Gdyby można wierzyć metryce, okazanej przez rodzinę po jego śmierci, urodził by się w Paryżu, w październiku roku 1653 i był chrzczony w parafii Saint-Sauveur. Miał by więc dopiero 76 lat gdy umarł. Lecz podczas zaburzeń Frondy rejestra stanu cywilnego w tak złym stanie były utrzymywane, iż można zaprzeczyć autentyczność tego aktu, co potwierdził także świadectwem swoim Descoteaux, sławny fletnista i od dzieciństwa przyjaciel Barona. Zbliżenie także niektórych wypadków jego życia dowodzi że sławny ten artysta umarł istotnie w ośmdziesiątym drugim roku życia.

Ojciec jego był początkowo kupcem w Isoudun, rodzinném swém mieście; został później aktorem i celował w tragedij. On to utworzył rolę *Rodryga* w trajedij Kornela *Cyd*. Świetnym lecz bardzo krótkim był jego zawód dramatyczny. Zakończył życie przez najdziwniejszy wy-

Tou 1. Poszyt 5.

padek. Pewnego dnia grał rolę *Don Diega* w Cydzie; wypuścił szpadę z rąk jak tego wymagała scena z Hrabią Gomez i pogardnie odpychając ją nogą skaleczył sobie o jej ostrze mały palec. Niezważał bynajmniej na tak małą ranę, lecz po dwóch dniach tak się pogorszyła, iż przywołani doktorzy oświadczyli że niema innego ratunku tylko urznąć nogę. Aktor oparł się temu jak najuporczywiej: Nie, nie, — rzekł, — taki jak ja król teatralny byłby zbyt śmieszny z drewnianą nogą.» Wolał raczej spokojnie oczekiwać śmierci, która go nazajutrz ze świata zebrała. Żona jego, a matka naszego wielkiego artysty, obrała tenże sam zawód i podzielała jego tryumfy. Była prócz tego tak piękną, że skoro okazywała się przy gotowalni królowej matki Ludwika XIV, wszystkie damy uciekały gdy Najjaśniejsza Pani wyrzekła: «Moście panie, oto pani Baron.» Lękały się zbyt wiele utracić na porównaniu. Zmartwienie miłośne było przyczyną jej śmierci.

Młody Baron, od samego prawie dzieciństwa wychowany za kulissami, jak najwcześniej okazywał wrodzone powołanie do teatru. Matka poleciła go umierając stryjowi i ciotce, naturalnym jego opiekunom, a ci zabrali go ze sobą do Villejuif, małego miasteczka w okolicach Paryża. Mieli zrazu jak największe staranie o swym wychowawcu, dopóki wystarczał majątek pozostały po matce; lecz gdy go całkiem roztrwonili bardzo byli zakłopotani jego osobą. Odtąd sam prawie sobie zostawiony, przymuszony znosić wszelkie dziwactwa i opryskliwości swoich opiekunów, młody Baron wiele bardzo ucierpiał;

lecz nigdy się nie skarżył. Dla umilenia gorzkiej nudów samotności uczył się wierszy na pamięć i wprawiał się w ich deklamowanie. Stryj widząc go raz zagłębionego w czytaniu zbliżył się i raptem wyrwawszy mu książkę z rąk zawołał: «Co to za książka? Cyd! aż śmiech i litość bierze! I cóż z nią robisz? — Czytam... te wiersze tak są piękne! — Milcz głupcze, czyż Jego przewiełość Kardynał Richelieu nierozkazał Akademii wydać wyroku że to dzieło nic nie jest warte! Czytasz! deklamujesz! bo bardzo dobrze słyszał jakieś deklamował... Powiedz mi, na co się to ci przyda? — W tej chwili niewiem tego, — odpowiedział młody Baron zgromiony przytomnością i groźnym głosem stryja; — lecz później może mi się stać pożytecznym. — Waryat jesteś, — odpowiedział były łucznik kardynała—ministra, — i nigdy nic z ciebie nie będzie.» Odszedł wzruszając ramionami, a młody Baron nieprzestał czytać i deklamować. Już dzieckiem zdawał się przeczuwać sławę wielkiego aktora.

Skonńczył rok dziesiąty. Wowym czasie właśnie, truppa młodych aktorów Delfina zwabiała cały Paryż na jarmark w Saint-Germain, gdzie dawała swe przedstawienia.

Pragnąc się raczej pozbyć siostrzeńca aby łatwiej zniszczyć resztę jego majątku, niżeli z chęci rozwinięcia wrodzonych jego talentów, stryjowstwo zaciągnęli młodego Barona na pięć lat do truppy pani Raisin, której mąż właśnie umarł. Była zachwycona znajdując dziecko mogące wykonać wszystko, czego żądać od niego będą, z największym więc pośpiechem przychyliła się do wszystkiego.

Obdarzony zachwycającą twarzą, wybiegłą i wspianą kibicią, głosem zarówno powabnym jak przenikającym, zgoła wszystkimi darami natury które sztuką umiał wydoskonalić, Baron był zawsze jedną z owych istot, co na pierwszy rzut oka nęca i wzruszają. Ukazanie się jego na tatrze pani Raisin prawdziwym było tryumfem i codziennie odbierał niezaprzeczone dowody niezmiennej łaski publiczności, zbiegającej się ze wszystkich części Paryża na jarmark Sgo Germana, aby go widzieć, słyszeć i podziwiać. Wstawieni aktorowie teatru du Marais i Pałacu Burgundzkiego, zwabieni pochwałami których nieszczędzono dla Barona ledwie co wychodzącego z dziecinnego wieku, nie mniej byli zdziwieni jak publiczność i podziwiali zaprawdę powszechny.

Molier otrzymał właśnie od Ludwika XIV zarząd teatru Palais-Royal, i starał się o ile możności ulepszyć swą truppę. Miał dobrych komicznych aktorów własnym wykształconych staraniem; lecz zbywało mu na aktorach poważnych, odpowiadających sposobowi, jakim pragnął aby tragedija była deklamowaną. Złudzony pochwałami których nieszczędzono małemu Barónowi, chociaż chory rozkazał zanieść się do teatru w Palais-Royal, który na kilka dni ustąpił pani Raisin, aby mógł sam osądzić zasługę aktora, będącego mimo swęj młodości celem wszystkich rozmów. Z uwagą śledził każdy jego wyraz, każde poruszenie i wychodząc z widowiska rzekł do towarzyszącego mu Chapella: «To dziecie zdolne jest jedynie spełnić moje zamiary. Muszę go zwabić do siebie.» Nim jednak co przedsięwziął

pragnął zasięgnąć objaśnień; uwiadomiono go że Baron był sierotą, bez majątku i opieki, bo opiekun całe mienie jego strwoniwszy opuścił go nielitościwie. Ukontentowanie jakiego wielki ten człowiek doznawał czyniąc dobrze, zdecydowało go zupełnie. Za dwa dni już Baron znajdował się w jego domu i tak się z nim obchodził jak gdyby był własnym jego synem.

Odzież jego bardzo była licha, Molier posłał natychmiast po krawca i zalecił aby mu wygotował na jutro zupełne i jak najporządniejsze ubranie. Stawił się na słowie krawiec i nazajutrz o dziewiątej przyniósł młodemu Baronowi strój najzupełniejszy. Grimarest w życiu Moliera tak o tym wspomina wypadku:—«Krawiec powiedział mu że powinien pójść do pokoju Moliera i podziękować. — Taki też mój zamiar, — odpowiedział chłopczyzna, niemogący dość napaść oczu nowym swoim strojem, lecz niezdaje mi się aby już wstał. Gdy go krawiec upewnił że wstał, pobiegł co prędzej i zaczął wynurzać swą wdzięczność Molierowi, który tak był z tego zadowolony, iż nieoprzestając na tém co uczynił, dał mu sześć luidorów w złocie, z rozkazem aby je obrócił na swe uciechy. Wszystko to było snem prawie dla dwunastoletniego chłopczyzny, zostającego przez tak długi czas w ręku ludzi opryskliwych i niemiłosiernych, którzy zamiast rozwijać starali się owszem przytłumić jego dramatyczne zdolności. Molier uszczęśliwiony że może dopomóc młodzieńcowi który zdawał się posiadać wszystkie przymioty do odpowiedzenia godnie jego staraniom, spytał go najszczerzej, czego by sobie najbar-

dziej życzył? — Zostać z panem przez resztę mego życia — odpowiedział Baron — i okazać żywą wdzięczność za wszystkie dobrodziejstwa któremi mnie obsypujesz. — Dobrze! — zawołał Molier, to już rzecz skończona; król wydał na moje prośby rozkaz uwolnienia cię od truppy do której należysz. — Molier wstał jeszcze przed czwartą i był już w Saint-Germain błagać Monarchę o wyświadczenie mu téj łaski, a król kazał natychmiast rozkaz wyekspediować.

Pani Raisin dowiedziawszy się o swoim nieszczęściu, przybiegła zagniewana do Moliera, wpadła do jego pokoju z dwoma pistoletami w rękę, krzycząc, że jeśli jój nieodda aktora to go zastrzeli. Molier niezmięszany bynajmniej słowami i groznymi poruszeniami owéj kobiety, zawołał słuźącego i rzekł mu najspokojniej aby wyprowadził tę panię. Niezachwiana postać Moliera wielkie uczyniła na niéj wrażenie, z najgwałtowniejszego gniewu przeszła do boleści i błagań. Pistolety z rąk jój wypadły. Padła do nóg Moliera i ze łzami w oczach zaklinała aby wrócił jój aktora, wystawiając mu nędzę do której przywiedzioną zostanie jeśli go zatrzyma. — I cóż chcesz abym czynił? — rzekł — życzeniem jest Króla żeby opuścił twoją trupę: oto jego rozkaz. Pani Raisin niewidząc już żadnej nadziei prosiła Moliera aby pozwolił małemu Baronowi grać jeszcze przynajmniej przez trzy dni z jój trupą. «Nie tylko trzy, ale i ośm, — odpowiedział Molier; — pod warunkiem jednak że nie będzie u ciebie mieszkał, i że go słuźący odprowadzi natychmiast po skończonej sztuce.

Molier domyślając się wszystkich podstępów jakowych ta przebiegła i zdradziecka kobieta użyje na znęcenie napowrot do siebie Barona, wszystkie jej szyki zniweczył tą ostrożnością. Gdy się ujrzał spokojnym posiadaczem swego wychowanka, kazał go uczyć literatury, historii, języka łacińskiego, słowem wszystkiego co w ówczas stanowiło skończone wychowanie szlachcica. Zachęcał przedwczesny gust który okazywał do poezyi, a nadewszystko z największą usilnością starał się wykształcić zadziwiającą jego zdolność do deklamacyi. Baron umiał korzystać z nauk tak wielkiego mistrza. Wszedł do jego trupy, stał się niezadługo najpierwszą jej ozdobą i jak najlepiej wspomagany przez towarzyszków, wystąpił roku 1671 w roli *Kupidyna* w *Psyszy*, sztuce, która niesłychane zyskała powodzenie. Młodość, piękna twarzyczka i szlachetne wdzięki młodego Barona, czyniły go bardzo zdolnym do wystawiania tego bożyszcza; w ówczas już osądzono że przewyższy najślawniejszych aktorów, którzy dotąd zjawili się na scenie.

Ludwik XIV, który umiał zachęcać i nagradzać talenta, postanowił od tej chwili przyjmując aktorów Moliera do swój służby, z pensją roczną 7,000 liwrow. Wzięli odtąd miano *Aktorów królewskich*, które dotąd zachowali, należeli oni do wszystkich uroczystości dawnych przez tego monarchę.

Lecz dobrodziejstwa któremi Molier obsypywał Barona, niepodobały się jego żonie; pragnęła wyłączenie posiadać przywiązanie mężowskie niestarając się bynajmniej wywzajemnić mu, ścierpieć więc niemogła dobroci

okazywanéj temu chłopczynie, który z swéj strony mając dopiero lat trzynaście, nieposiadał roztropności potrzebnej w obejściu się z kobietą tak dumnego i opryskliwego charakteru, a dla której winien był największe względy. Widząc się kochanym od męża, koniecznym do jego widowisk, pieszczonym od całego dworu, bynajmniej niedbał czy się podoba lub nie pani Moliere; ona go również lekce ważyła, pozwoliła sobie nawet pewnego dnia, za błałą pobudką wyciąć mu policzek. Młody aktor tak się uczuł obrażony iż natychmiast opuścił dom swego dobroczyńcy. Molier był właśnie nieobecnym. Gdy powrócił i dowiedział się o tém co się stało: Czy podobna, — rzekł do żony — abyś się mogła tak daleko zapomnieć, i uderzyć to dziecko, wiedząc jak bardzo jest czułe; i to jeszcze w ten czas kiedy musi deklamować sześćset wierszy w sztuce którą niezadługo musimy wystawić przed Królem? — Dumna kobieta zbyt mało zdała się być wzruszona temi wyrzuty; cierpko odpowiedziała że nic ją niezmusi zdanie odmienić. Rozsądny Molier nic na to nieodpowiedział i starał się wszelkimi sposobami ułagodzić Barona, który schronił się do pani Raisin i napowrót zwabić go do siebie. Młody aktor jeszcze cały gniewem oddychający, przyrzekł Molierowi, że odegra swą rolę, lecz do niego niewróci!

Otrzymawszy od Króla pozwolenie wydalenia się z dworskiej truppy, Baron towarzyszył pani Raisin w jej objeździe po prowincjach; lecz niezadługo ją porzucił aby się zaangażować do towarzystwa panny Beauval. Zaczął jednak żałować, iż opuścił swego nauczyciela;

głośno wyrażał chęć pogodzenia się z nim, dodając jednak, nieśmiem się tego spodziewać, bo jestem niegodzien. Molier z swój strony cierpiał także na oddaleniu Barona; zajmowanie się jego wychowaniem umilało mu wolne chwile; przy nim życie upływało mu spokojniej, zgodniej z jego zdrowiem i zasadami; coraz wzrastające wychowanka postępy i sława dozwalały mu prawie zapominać o domowych zmartwieniach: najmocniej też pragnął jego powrotu. Uradował się wielce dowiedziawszy się o dobrém usposobieniu swego aktora, napisał do niego natychmiast list bardzo czuły i pewny że się do prośby jego skłoni posłał mu nowy rozkaz królewski wrócenia do dworskiej truppy, błagając aby wziął pocztę i jak najprędzej do niego pośpieszył.

Baron niezmiernie ucieszony odebrany listem, przygotował wszystko do podróży i nazajutrz wyjechał. Molier niecierpliwym ujrzeć go jak najprędzej, chciał pojechać na jego spotkanie aż do bramy Świętego Wiktora w dniu oznaczonym. Lecz od czasu ich rozstania wiejskie powietrze i ciągłe podróże tak zmieniły i oszpeciły Barona iż Molier pominął go niepoznawszy i po długiem czekaniu bardzo smutny powrócił do siebie. Przyjemne zadziwienie czekało go za powrotem: zastał u siebie Barona, lecz tak mocno wzruszonego radością ujżenia swego dobroczyńcy iż nie był w stanie wynurzyć komplementu, który przygotowywał przez całą drogę. Molier obsypał go pieścotami ojca, odzyskującego syna po długiem niewidzeniu. Po tysiącznych zapytaniach, o zdrowiu, postępach scenicznych, tryumfach,

spytał go 'nakoniec czy ma jeszcze pieniądze- Baron opowiedział, iż miał zaledwie kilka sztuk drobnój monety w kieszeni, gdyż zapomniał swego worka w oberży gdzie ostatni raz stanął na nocleg, że postrzegł dopiero swą stratę o kilka mil odległości, lecz niecierpliwość ujrzenia co prędzej dobroczyńcy niedozwołała mu wrócić po odzyskanie swój straty. Molier nieposiadał się z radości znajdując Barona tak czułym i wdzięcznym. Gdy nadeszła godzina widowiska kazał mu towarzyszyć sobie, zalecając jednak aby się owinał w płaszcz, tak aby go nikt poznać niemógł; niebył bowiem ubrany stownie do swego położenia, lecz Molier niczego nieszczędził aby mu dawną świetność powrócić. Też same miał dla niego względy jakie mu okazywał z początku, i zarówno przykładał się do wykształcenia jego obyczaj jak wydoskonalenia w rozpoczętym zawodzie. Historyk wyżej wzmiankowany przytacza z tego powodu i czyn zarówno zaszczyt przynoszący nauczycielowi jak uczniowi.

Pewien aktor, którego rodzinne nazwisko było Mignot a teatralne Mondorge, w smutném znajdując się położeniu, postanowił udać się do Auteuil, gdzie Molier własny dom posiadał, aby do błagać o wsparcie dla swój rodziny, w ostatniej zostającej nędzy. Udał się najpierw do Barona i w te słowa stan mu swój przełożył: «Wiem że pan najlepszym orędownikiem będziesz za mną do Moliera; ostateczność zmusza mnie jedynie udać się do niego; jeśli mi odmówi swojej pomocy, niebędę w stanie, wraz z rodziną, połączyć się

z moją truppą; jeszcze w Langwedocij byłem towarzyszem pana Moliera, i pewny jestem że mi nieodmówi swęj litości, skoro pan raczysz wstawić się zamną.»

Baron pośpieszył natychmiast do Moliera, i powtórzył wszystko co biedny Mondorge mu powiedział. Prawda odpowiedział Molier żeśmy ze sobą grali komedje; jest to bardzo poczciwy człowiek, i mocno mnie boli że domowe jego interessa w tak złym są stanie. I cóż myślisz że dać mu powinienem? — dodał. — Baron niechciał oznaczyć szczodroty jakową Molier powinien był uczynić Mondorgowi. — Chcę koniecznie, — rzekł Molier, — żebyś wymienił ile mu dać mogę. — Baron zmuszony odpowiedzieć, rzekł, iż sądził że cztery pistole będą dostateczne biednemu aktorowi do połączenia się ze swoją truppą. — Dobrze, — odparł Molier, — dam mu cztery pistole od siebie, kiedy to dostatecznym być sądzisz; lecz dodam mu dwadzieścia od ciebie, chcę aby wiedział że tobie jest winien przysługę którą mu czynię. Mam także suknię teatralną, która jak mi się zdaje, nie może mi już więcej służyć, niechaj mu ją dadzą; będzie to dla biedaka wielką pomocą w dramatycznym zawodzie. — Suknia jednakże którą Molier z takim ukontentowaniem oddawał, kosztowała go 2,500 liwrów, i prawie jeszcze całkiem była nowa.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Garat w Trianon.

O uroczystościach i koncertach tylko myślano na owym szlachtetnym Wersalskim dworze, tak płochym

i wytwornym, na kilka chwil nawet jeszcze pierwój nim straszliwy orkan rewolucyjny owinał Francję. Królowa przewodniczyła zwykle wszystkim zgromadzeniom, na których podziwiano doskonały jój wdzięk i rozczulającą uprzejmość.

Hrabia d'Artois i Monsieur de Provence często ukazywali się na tych festynach; sam król tylko najzupełniejszą okazywał obojętność na wszystkie owe uciechy i zamiast one podzielać, zamykał się w swoim gabinecie i tam cały poświęcał się dyplomatycznój pracy.

Pewnego razu, w ciepły letni wieczór, poufałe towarzystwo, a zatém nie liczne, zgromadzone było w najchłodniejszym i najzalatniejszym salonie Małego-Trianon, wiejskiego pałacyku który Marja-Antonina bardzo lubiła. Damy siedziały w okrąg na krzesłach, a kawalerowie stali za niemi. Na środku pokoju, przy klawikorcie, były trzy osoby, pomiędzy któremi, po ułożeniu pełném elegancij i wdzięku, po łagodnój i poważnój twarzy, łatwo było rozpoznać Marję-Antonię, Królowę Francij. Dwie osoby, mające wysoki zaszczyt znajdować się obok niój, były, młoda kobiéta, którój uderzająca piękność oddychała tęsknotą i mężczyzna, całą swoją powierzchownością stawiający sprzeczność ze wszystkiém co go otaczało. Dama miała ów wyraz arystokratycznój pychy tak dobrze przypadający do twarzy pięknej kobiecie; a jój błękitne, nieco siwawe oczy, rzucały łagodne spojrzenia zdające się wykrywać całą duszę owe spojrzenia będące czystém zwierciadłem, w którym się czyta: miłość i dobroć. Była raczój przyjaciółką niżeli

służebną królowej, nazywającą ją zawsze tylko Walentyną, chociaż była Księżną de C***. Walentyna pełna była talentów; celowała szczególnie w muzyce, którą lubiła namiętnie. Mężczyzna odznaczał się dziwactwem i przesadnością swojego ubioru; długie i płaskie włosy, bez żadnego wdzięku spadały mu wzdłuż policzków; twarz jego do połowy zagrzebana w szerokiej białej chustce, miała zarazem ludzkie i małpie rysy; prawa jego ręka cudownie była małąką, lewa okaleczoną; sama nawet jego rozmowa ciekawie była oryginalną i o ile mi wiadomo, nigdy język jego ani jednego r nie wymówił: największą odrazę cierpiał do téj zgłoski. Mężczyzna ten jednakże był bardzo wówczas pieszczonym i poszukiwanym,—podobnie jak miał być nim i później —a za kilka lat, szczególnie pod konsulatem, stać się przywódcą mody i królem śpiewu, był to sławny Garat, cudowny Garat!

Księżna siedziała przy klawikordzie, a Garat śpiewał z królową duet autora *Orfeusza*. Wiadomo że Marja-Antonina bardzo lubiła muzykę, lecz nie wszyscy może wiedzą iż jój często zdarzało się śpiewać fałszywie. Garat miał delikatne i wyćwiczone ucho, a gdy królowa odezwała się z dwójznaną nutą, czynił znaczący grymas, albo zaczynał się bawić z ogromną lorynetką, zawieszoną na szyj, dla pokrycia swój niecierpliwości.

Tego wieczora królowa nie miała głosu, a nieszczęsna lorynetka wielką odgrywała rolę w ręku swego właściciela. Postrzegła to Marja-Antonina, i tak się obraziła iż z gniewu rzuciła o ziemię nuty; lecz zawstydzona

swoim postępkiem, pragnąc aby jak najprędzej o nim zapomniano poprosiła Garata aby zaśpiewał jedną ze swoich modnych dumek, z tych dumek co sławę jego ustaliły. Lecz śpiewak niezmiernie pomieszany był nieukontentowaniem królowej; śpiew jego był zimny i słuchacze także zimnemi pozostali; sama tylko Walentyna szepnęła mu z cicha kilka słów pociechy i pochwały.

Już późno w noc było; Garat pożegnał się z towarzystwem, czyniąc grymas, który zwykle najpowabniejszym był jego uśmiechem i pośpieszył do swego pokoju, który przez szczególniejszą łaskę królowa przeznaczyła dla niego w zamku. Niespokojny, roztargniony, dał się machinalnie prowadzić lokajowi przez kurytarze; wręście lokaj, zapaliwszy stoczek oddał mu go do rąk i zostawił przy wielkich schodach. Nasz śpiewak zapewne musiał zmylić piętro, gdyż się znalazł w długiim ciągu ciemnych i pustych pokoi, zupełnie mu nieznanym. Przy słabym połysku stoczka obejrzał miejsce w którym się znajdował i poznał że jest w appartamencie Hrabi d'Artois, chciał się w ówczas wrócić, lecz tak się szybko cofnął, iż to poruszenie zgasiło stoczek i głęboka ogarnęła go ciemność.

Starał się jednak koniecznie znaleźć drzwi któremi wszedł i jeszcze się bardziej zabłąkał w tym nieprzebytym labiryncie. Utrudzony, straciwszy nadzieję znalezienia drogi, rzucił się na szerokie i miękkie krzesło, obiecujące mu przynajmniej nieco spoczynku i tak postanowił doczekać aż do dnia.

Wkrótce wpadł w ów rodzaj drzymania zwykle sen poprzedzający, który nie jest ani spaniem ani czuwaniem, gdy go przebudził łoskot otwierających się drzwi. — Obrócił się ku stronie z której łoskot pochodził, lecz nie zobaczył; część ta pokoju w najzupełniejszej pograżona była ciemności: posłyszał tylko szelest jedwabnej sukni. Nieporuszony i dech zatrzymując, słucał....

— Karolu!... — odezwał się cicho luby głos, na który dreszcz go przeszedł.

Po krótkim milczeniu tenże sam głos to samo powtórzył imię; ale tym razem zdał się być bardziej bliski i drżał ze wzruszenia.

Garat najpilniej słucał i ani się poruszał. Wkrótce uczuł czyjąś rękę opierającą się z lekka na jego ramieniu, i wonne tchnienie kobiety czoło jego owiało. Ujął tę rękę w swoich rękę; była mała i miękka jak atlas.

— Dla czegoż mi nieodpowiedziałeś?... Czybyś się na mnie za to gniwał że zbyt długo słucała rokosznych dumek, które Garat tak dobrze śpiewa?...

Tajemnicza dama wyrzekła te słowa z dziecinną prawie naiwnością, tym zagniewanym nieco głosem co tak kobietom przystoi, i tak je czyni zachwycającemi, że wszystko im przebaczyć trzeba. Garat był zarozumiały; i wszyscy co go znali wiedzą iż uważał się za najznakomitszą prawie osobę w całym państwie. Postrzegł widocznie że jest przedmiotem omyłki dla nieznajomej, a jednakże najpierwszą jego myślą było doprowadzić do końca awanturę w którą go przypadek wplątał. Lecz uboczna pochwała, z którą się do niego odezwano, tak

bardzo pochlebifa jego artystowskiej miłości własnej, iż zapomniał o pierwszej powziętej myśli, i starał się tylko wyprowadzić z błędu damę, mającą tak piękną rączkę i głos tak pieszczony.

— Nie jestem tym którego pani szukasz, — rzekł po chwili wahania się.

— Garat tutaj!... — krzyknęła nieznajoma; potem zniknęła i zatrzasnęła za sobą drzwi przez które weszła; lecz gdy wydzięrała małą swą rączkę, pierścień zsunął się z jej palca i pozostał w ręku Garata.

— Ach! poznała mnie! — odezwał się z wyrazem zrozumienia.

Gdy sam pozostał, zaczął rozmyślać o tej dziwnej przygodzie, o tajemniczej damie co go poznała po głosie i cały temi myślami zajęty niemógł przez całą noc zamknąć oka. Zaledwie zaczęło świtać, dały się słyszeć kroki, i trzech ludzi nbranych czarno, z których jeden zdawał się innym rozkazywać, weszło do pokoju.

— A witajcie, moi panowie, jeśli przychodzicie mnie oswobodzić, — rzekł Garat wstając i przyglądając się im przez ogromną lorynetkę, którą był uzbrojony.

— Przeciwnie, mości panie, przychodzimy cię aresztować, — odpowiedział dowódca owych czarnych ludzi, postąpiwszy kilka kroków na przód.

— Aresztować! mnie, Garata! — odrzekł śpiewak napuszając się i wykręcając na jednej nodze; — to żarcik zapewne.

— Nie, mości panie; to na prawdę, — odpowiedział tamten.

— Kiedy tak, to powiedźcie mi powód tego aresztowania, — odezwał się Garat, a czoło jego zaczynało się już zachmurzać.

— Nie jest mi wiadomy. Odebrałem tylko rozkaz zaprowadzić pana do miejskiego więzienia, abys tam pewnie posiedział nim cię osadzą w Bastylj... — W Bastylj! — zawołał artysta, o którego ucho obišo się to słowo jak nieprzyjemny i fałszywy akord; — w Bastylj? — powtórzył, komiczny uczyniwszy grymas.

Dalój, mości panie, pójdź z nami, — przerwał gniewliwie dowódca straży; — chyba że wolisz mieć do czynienia z temi trzema ichmościami, — dodał ze złośliwym uśmiechem.

Garat powtórnie powiodł lorynetkę po przybyłych: byli to dziarskie chłopaki, którym by się i najsilniejszy mężczyzna nie oparł; zrozumiał to za jednym rzutem oka, i poddał się swemu przeznaczeniu.

Sądząc po surowej minie człowieka co go przyszedł aresztować, spodziewał się być wtrącony do ciemnego i wilgotnego lochu; jakże się zdziwił gdy go wprowadzono do obszernego pokoju, porządnie umeblowanego, którego pozór bynajmniej nie był przerażający, chociaż grube kraty w oknach odejmowały samą myśl nawet ucieczki.

— Każ mi przynieść śniadanie, — odezwał się do strażnika. — Oto masz, — dodał rzucając mu sztukę złota, — a niechaj mi dadzą co będzie najlepszego i najsmaczniejszego, potrzebuję się posilić.

Strażnik schował pieniądz do kieszeni i wyszedł zostawiając przy drzwiach jednego ze swoich ludzi. Lecz Garat na próżno czekał śniadania. Upływały godziny, a za całą zabawkę musiał się przechodzić w dłuż i wszere ciasnego więzienia, gwizdząc aryjki z oper komicznych. Nagle przypomniał sobie pierścionek co mu w ręku pozostał; wyjął go nieznacznie z kieszeni, przypatrzył mu się bacznie przez lorynetkę, jakgdyby przez szkło powiększające, a twarz jego, z razu obojętna, przybrała wyraz zadziwienia.

— Cyfra królowej — zawołał, — jakto, to była ona!... Teraz się domyślam dla czego mnie zaprowadzono...

Turkot powozu zatrzymującego się pod oknami pokoju przerwał jego domysły. Zgadując prawie że ta wizyta do niego przybyła, spiesznie ukrył klejnot który dotąd trzymał w ręku, — kilka sekund zaledwie upłynęło, a jakaś dama weszła tajemniczo do więzienia.

— Księżna de C***! — wykrzyknął Garat cofając się z podziwienia.

Była to w istocie powiernica Marij-Antoniny, piękna Walentyna, której blada twarz wyrażała w tej chwili niespokojność i pomieszanie; obłudne jej spojrzenia lękały się spocząć na jakimkolwiek przedmiocie; była widocznie zakłopotana i nieśmiała przemówić.

— Jakiemuż szczęśliwemu trafowi winien jestem twoją wizytę, mościa księżno, — rzekł Garat podając jej krzesło i kłaniając się z uszanowaniem.

W tedy dopiero Walentyna podniosła piękne oczy na artystę, dziękując mu spojrzeniem że ją wyrwa

z przykrego kłopotu. Zwolna twarz jęj zwykłą przybrała spokojność;—gdy zupełnie przyszła do siebie, odezwała się, lecz jeszcze z wahaniem, i jak gdyby wstydzając się sama siebie.

— Mości panie, — rzekła, — tęg nocy, kobięta której podszedłeś tajemnicę niechęcący, zostawiła w ręku twojém klejnot, mogący osławić niewinność, gdyż nosi herb i cyfrę królowęj. Klejnot ten do mnie należy, — dodała spuszcżając głowę, a czoło jęj nagłym rumieńcem się powlokło;—jest to dar Marij-Antoniny, i przychodzę domagać się o zwrot onego od twojęg prawości i uprzejmości.

— To więc nie była królowa, — rzekł sam do siebie Garat; potęm zwracając mowę do księżnej i oddając jęj kosztowny pierścien: — Oto jest, mościa księżno, i bądź pewna że nigdy nie wspomnę.

— Dziękuję ci! — przerwała księżna z uśmiechem wdzięczności; i wstając: — za chwilę będziesz wolny a stojący w pogotowiu powóz odwiezie cię do Paryża; lecz nim się oddalę, muszę ci przyjemną udzielić wiadomość; królowa, chcąc ci dowiesć mości panie, jak wysoko twój talent szacuje, przeznaczza ci od dzisiejszego dnia, z własnego dochodu, pięć tysięcy liwrów rocznej pensij.

Odeszła księżna, lecz raz jeszcze obróciła się przesyłając śpięwakowi znak wdzięczności i pożegnania; Garat patrząc za odchodzącą, rzekł z wyrazem zupełnego przekonania:

— Równie wspaniała jak piękna!... Za kilka minut już był wolny i wykrzykiwał z pychą. — Dobrze wiedziałem że niemożna aresztować takiego jak ja człowieka!....

ROZMAITOŚCI.

Anegdoty Muzykalne

Ferrari.—*Życie w Neapolu i familia Paizellego.*—*Wezuwiusz i makarony.*—*Zdanie Paizellego o Mozarcie.*—*Spiewaczki Neapolitańskie.*—*Bitwa spiewaczek Moreschi i Galli.*—

Gdy ci powiem czytelniku ze Ferrari był sławnym kompozytorem swego czasu, zdziwisz się zapewne, a jednak to jest istotna prawda!—Tak to przemija sława, tak przemija tchnienie szybko znikającej wiosny, którą zowią modą. — Tak jest, piękne kobiety śpiewały melodije Ferrarego, w Wersalu, w Trianon, nikt niewątpił o jego talencie. — On dorobił muzykę do owój sławnej śpiewki tak bardzo lubionój:

«Kiedy się miłość w Cyterze zrodziła» etc. etc.

Od niój się datuje sława i szczęście Ferrarego, tego awanturnika tyrolskiego; wszystkie piękne damy szalały za nim, wszystkie salony otworem stanęły, lekcije jego płacono po luidorze, a że był dobrym chłopcem z natury, chętnie udręczenia i zaszczyty jeniusza ustępował kawalerowi Gluck i swemu nieprzyjacielowi Piccini.

Ten młody Tyrolczyk będąc w Neapolu, smaczne zjadał makarony, z wielkim, uczciwym i prosto myślącym Paizellim. — Pewnego dnia, o godzinie 2 przyszedł na objad do tego mistrza, który go swojej żonie Cecylij i swemu siostrzeńcowi Ciccio przedstawił. — Niebo było

pochmurne, ziemia drżała, lud biegał przestraszony.— Olbrzymi słup dymu połączony z iskrami, wychodził z krateru Wezuwiusza.— Mimo to nic nie zdołało zamieszać spokojności domowej Paizella, zaproszono do stołu Ferrarego kiedy on niewzruszonym spoglądał wzrokiem na groźącą kolumnę dymu.— Czy pan pójdiesz z nami dziś do teatru del Fondo? zapytała go pani Paizello.— Bardzo chętnie, lecz czy pani nieobawiasz się wybuchu?— Co pan mówisz? jakiego wybuchu? troche dymu i nic więcej. A choćby nastąpił i wybuch, wiatr jest południowy, Neapol zatem niema się czego obawiać.— Ależ trzęsienie ziemi?— Co za trzęsienie ziemi? cokolwiek się poruszyła tylko. My jesteśmy przyzwyczajeni do tego. Czy się pan boisz?— Nie zewszystkiem.— Biedak! przyzwyczajony do widzenia swoich gór tyrolskich pokrytych śniegiem, dziwi się że nasze są pokryte ogniem; lepiej więc pan uczynisz gdy niepójdziesz z nami.— Co? ja niemam słyszeć opery Paizellego? Pojdę chociażby wszystkie wejścia teatru ognistą lawą zalane być miały.— Dobry z ciebie chłopiec, przyjdź o godzinie 7 to pojdziemy razem.

Takiemi to kolorami odmalowane jest wewnętrzne życie neapolitańskie wielkiego muzyka.— Niczego się nieobawia, niczego nieżąda, rozrywka przedewszystkiem rozrywka na dziś tylko. Niech Wezuwiusz rozpościera śmierć, niech pokrywa Neapol zarzęciami popioły, nie ich to nieobchodzi;— byleby się bawiono wieczorem, bawiono w nocy, byleby ich otaczały ulubione sztuki, zabawa jest dla nich marzeniem, życiem

i snem zarazem.—Ferrari długo pędził tak słodkie życie, pomiędzy Paizellim, jego żoną, Wezuwiuszem, pięknymi śpiewaczkami czystym i gwiazdzistym niebem, błyszczącym się jak kryształ morzem, zachwycającą muzyką, uczciwymi i zawsze wesołymi ludźmi, gotowymi używać wszystkiego i wszelką rozkosz z nim podzielać.—Zawsze z przyjemnością przypominał sobie Ferrary wino malagę, poncz angielski i wytworne sorbety ręką pani Paizello przyprawiane.—Im gęstsze Wezuwiusz wyrzucał dymy, im bardziej te dymy mieszały się z płomieniami, tym więcej wykwintny stół muzyka, napełniał się smakowitemi łakociami.—Wszystkie dzwony w poruszeniu, processyje nad brzegiem morza, lampy zapalone przed obrazami świętych, powietrze nieme, noc czarna, morze uspione, ziemia nieporuszona, gwiazdy niewidzialne a w pośród tego wszystkiego wybuch ognia który się wydzierał ze szczytu Wezuwiusza, na widok tego mówi Ferrari: bladłem z przestachu i podziwienia, gdy temczasem maestro w małym pokoiku wprost rozognionego Wulkanu pisał spokojnie partyturę antygony; zapach mirry i zapalonych kadzideł po ulicach napełniał atmosferę przyjemną wonią.—Wszędzie słyszano tylko tamburina, mandoliny, gitary i tańce pod portykami.

O cudne wychowanie artysty. O Ferrari! dlaczegoż tyle mocnych wrażeń uczyniło tylko z ciebie autora małych śpiewek, które bawiły dwór Wersalski. Gdy Mozart zamknięty w swojej niemieckiej samotni, tworzył arcy-dzieła!

(Dalszy ciąg nastąpi.)